

...pod sztandem wroźnia nie będą szczęśliwi. To sztandary stają pod burzą...

Aż do bagienk pnieknych nie są grzęzły, szły wzdłuż kolejeń wozów, płąły miasta, ranoce w potłoczku, szły Niemcy...

(Wł. Broniewski: Słonce Wroźnia)

BYE piękny lipiec 1939 roku. Piękny i pogodny, wesoły i normalny. Ludzie wyjeżdżali nad morze...

...czuli się przez umocnienia naszych sił obronnych. Fundowano dla armii samoloty i samoloty, czynniki składowe...

W powódź tych codziennych wydarzeń nie wstrząsnęły większe uwiadomienia...

...dr wreszcie spłynął do swoich brzości, pełni niecierpliwości, oczekiwania...

WZROŚNĄCY PIM zapowiedział dzień dobrej pogody. W dniach...

...DOKĄD JA MAM SIĘ UDAĆ? JNNY nauczyciel, mgr Edward Janiak...

METODA KOLYSANIA NIE USPIŁA CZUMNOŚCI NARODU. NIEMOKOJAŁE wiadomości...

...Schleswig-Holstein ostrzeżenie Westprali. Wych starszych w Gdańsku...

WZROŚNĄCY PIM zapowiedział dzień dobrej pogody. W dniach...

...DOKĄD JA MAM SIĘ UDAĆ? JNNY nauczyciel, mgr Edward Janiak...

DOKONCZENIE ZE STR. 1. Wiceminister Chochołowski jest z pełną odpowiedzialnością...

WZROŚNĄCY PIM

zapowiedział dzień dobrej pogody. W dniach...

DOKĄD JA MAM SIĘ UDAĆ? JNNY nauczyciel, mgr Edward Janiak...

WZROŚNĄCY PIM zapowiedział dzień dobrej pogody. W dniach...

DOKĄD JA MAM SIĘ UDAĆ? JNNY nauczyciel, mgr Edward Janiak...

WZROŚNĄCY PIM zapowiedział dzień dobrej pogody. W dniach...

Miasto starało się w tych trudnych chwilach żyć normalnym trybem...

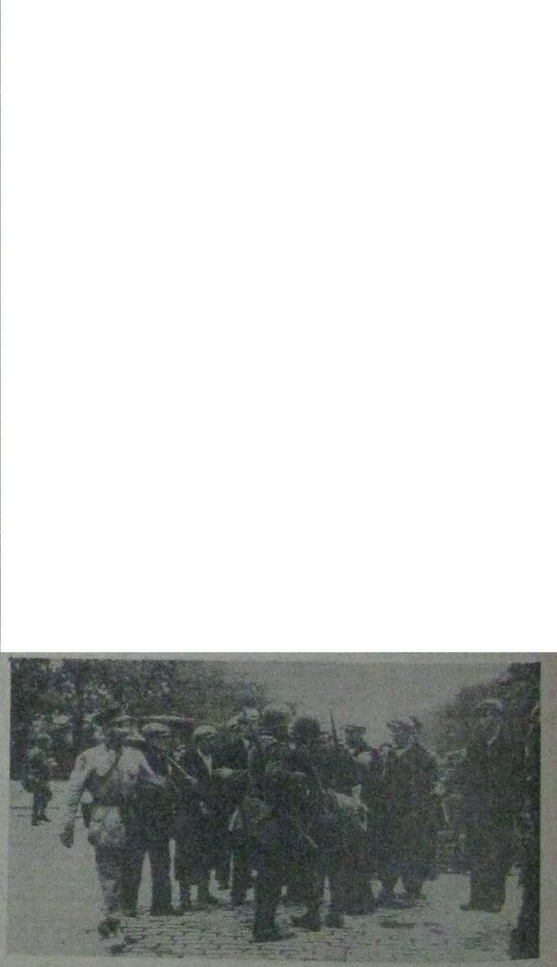
EDWARD NADULSKI, przewodniczący Zarządu KF-7...

W tych wojny zastał miasto Lublin. Niezwykłym...

WZROŚNĄCY PIM zapowiedział dzień dobrej pogody. W dniach...

DOKĄD JA MAM SIĘ UDAĆ? JNNY nauczyciel, mgr Edward Janiak...

WZROŚNĄCY PIM zapowiedział dzień dobrej pogody. W dniach...



Opiek. HALINA CHABROS. Nie dla wszystkich starczyło broni.

WZROŚNĄCY PIM zapowiedział dzień dobrej pogody. W dniach...

MUZEUM Wojska Polskiego. Okryte chwałą sztandary, broń i mundury.

Muzeum tysiąclecia naszej burzliwej, patetycznej i dramatycznej historii wciąż wzbogaca się o wyciągane z rodzinnych szkatuł, odnajdywane na pobojowiskach pamiątki z czasu II wojny światowej.

W jednej z gablot na otwartej w przededniu rocznicy hitlerowskiego najazdu stałej wystawie Wrzesień skromny eksponat. Przechodzą koło niego często, nie zauważając, wycieczki. Na posklejanym z kawałków aluminium fragmencie płatu wrogiego samolotu wyraźnie widoczny czarny krzyż. W trzydzieści lat od dni, w których czarne krzyże pojawiały się nad polskim niebem — dla dużej części młodych oglądających muzeum znak ten nigdy nie był symbolem niebezpieczeństwa.

1 września 1939 roku porucznik Aleksander Gabszewicz pełnił służbę oficera dyżurnego dywizjonu myśliwskiego stacjonującego na połowym lotnisku w Poniętowej. Nie było jeszcze godziny szóstej rano gdy zadzwieczał w namiocie połowy telefon. — Już wojna.

W chwilę później polskie dyony Jaskółek były w powietrzu biorąc kurs na północ, skąd — z terenu Prus Wschodnich, ciągnęły na stolicę klucze hitlerowskich bombowców.

W roku 1939 Heinkle He 111 należały do szybkich i nowoczesnych maszyn — nie mogły im dorównać ani uzbrojeniem ani nawet szybkością polskie pocigowce PZL. Ale tego dnia rano żaden z polskich pilotów nie miał czasu snuć rozważań na ten temat.

5 Heinkl szło o 500 metrów ponad Gabszewiczem. Więc

Pierwsze zwycięstwo polskiego lotnika

świeca w górę i skomplikowane manewry by Niemcy nie uciekli. Gdy napastnicy są już nad Modlinem do porucznika dołączają dwa pozostałe samoloty dyonu. W trójkę atakują piracką piątkę. Gabszewicz i jego upatrzony przeciwnik w tej samej chwili otwierają ogień. Ale Polak ma za sobą staż treningu w synnej dęblińskiej szkole orlat. Polak ma też więcej szczęścia. Trafiony bombowiec zwalnia, wyrzuca na burzane pole ładunek przeznaczonych dla Warszawy bomb, próbuje jeszcze uciekać na północ — wreszcie zwala się w dół.

Kilkakrotnie startowały jeszcze do lotów bojowych 1 września polskie PZL z Poniętowej. Było ich mało, z każda chwila mniej. To nic, że lotnicy nie wysiadają ze swoich maszyn, że po był na lotnisku ograniczają tylko do czasu potrzebnego na uzupełnienie amunicji i paliwa. Po polskim niebie sunie hitlerowska powietrzna nawała. Nasze nieliczne samoloty nie są w stanie jej zatrzymać. Wieczorem 1 września Gabszewicz zostaje zestrzelony — ranny skacze ze spadochronem z płonącej maszyny.

W dzień później kilku polskich lotników na polach pod Jabionną wycięło z wraku Heinkla wojenne trofea — płat skrzydła i karabin maszynowy.

Gdy Hitler przyjmował defiladę zwycięstwa w po-

konanej Warszawie, w piwnicy domu przy ul. Chmielnej rodzina polskiego lotnika zakopywała pocięte na niewielkie kawałki aluminiowe blachy niemieckiego samolotu.

— Trafia kiedyś do muzeum. Po naszym zwycięstwie — mówił ojciec porucznika. Jego syn przedzierał się tymczasem przez Rumunię do Francji by dalej walczyć. Po jej upadku przedostaje się do Wielkiej Brytanii i jako pilot uczestniczy w Bitwie o Anglię. Jest dowódcą 131 myśliwskiego skrzydła.

Polaki lotnik, który zwyciężył w pierwszej bitwie powie-

wej zestrzelił jeszcze na pewno 9 hitlerowskich samolotów, 1 prawdopodobnie a 3 uszkodził. Czterokrotnie zdobył Krzyż Walecznych, został także odznaczony francuskim Croix de Guerre, orderami brytyjskimi i holenderskimi. Otrzymał kartę chwały polskiego lotnictwa w II wojnie. I jako pierwszy żołnierz Polski w czasie ostatniej wojny otrzymał złoty krzyż Virtuti Militari. Wojnę zakończył w stopniu pułkownika.

Szczątki Heinkla przechowywane przez wszystkie lata okupacji i w czasie powstania w warszawskiej piwnicy — przetrwały wojnę i trafiły na swoje miejsce w Muzeum Wojska.

Któregoś letniego dnia wona w Muzeum Wojska mogła zaobserwować młodą dwudziestolletnią dziewczynę fotografującą postawnego mężczyznę na tle muzealnego eksponatu.

— To mój ojciec — odpowiedział na pytanie. — To on zestrzelił ten samolot. Płk Gabszewicz, — który założył rodzinę w Anglii przyjechał pokazać córce swój rodzinny kraj — spotkał się tego dnia po raz drugi w swoim życiu z Heinklem He 111.

Opracowanie CAF



Gen. Władysław Sikorski dekoruje mjr Gabszewicza złotym krzyżem Virtuti Militari. Polski lotnik był pierwszym żołnierzem który otrzymał w czasie II wojny światowej to wysokie odznaczenie bojowe.

GDZIES na przedmieściach Szczecina w dzielnicy willowej odnalazłem przy cichej uliczce szukany dom. To tutaj. W chwili późnej siedzę w przytulnym pokoju. Na stole pojawiła się kawa, nalewka domowej roboty, ciastka. Mój rozmówca, starszy, siwy pan, uśmiecha się ze zdziwieniem. — No i co, odnalazł mnie pan. Szukał pan Mariana Chojnowskiego — więc jestem.

Rodak z Lublina jest w naszym domu zawsze serdecznie witany. Oj, dawno nie byłem w tym mieście. Wybierałem się na Dni Majdanka ale rozumie pan, obowiązkij służbowe. Jestem tu w Szczecinie od kilkunastu lat. Pracuję na stanowisku dyrektora ekonomicznego Przedsiębiorstwa Produkcji Pomocniczej Budownictwa Rolniczego w Szczecinie-Dąbju. Roboty więc huk, a i zdrowie nie zawsze pozwala na dalekie wояże.

PRZED wojną przez wiele lat pracowałem w lubelskim magistracie. Byłem urzędnikiem w dziale opieki społecznej, a jednocześnie działaczem PPS. W 1939 r. pełniłem funkcję sekretarza okręgowego PPS w Lublinie. Wielokrotnie mnie aresztowano, miałem wyroki sądowe — największy chyba 2 lata więzienia. Moja żona pracowała w TUR i także była działaczką PPS. W latach 1929—32 byłem także redaktorem odpowiedzialnym wydawanego w Lublinie dziennika PPS JUTRO POLSKI. A wiadomo redaktor odpowiedzialny, to redaktor do odsiadki. Nic więc dziwnego, że poznałem trochę lubelskie areszty. Przez wiele lat pełniłem także funkcję wiceprzewodniczącego, a przez ostatnie dwa lata przed wojną przewodniczącego rady nadzorczej LSS. Nasze mieszkanie nazywano wtedy czernym siedliskiem.

Jak więc już wspomniałem 1 września zastał mnie na stolcu magistrackiego urzędnika wydziału opieki społecznej. Naczelnik tegoż wydziału został powołany do wojska, a ja objąłem jego obowiązki. Co tu dużo mówić, właśnie ten wydział miał chyba wtedy najcięższą pracę. W pierwszych dniach wojny na moją głowę spadła odpowiedzialność za opiekę nad żonami i dziećmi zmobilizowanych w Lublinie żołnierzy.

9 września Lublin przeszedł największy i najbardziej dotkliwy nalot. Po nalocie, ówczesny prezydent miasta, Bolesław Liszkowski, ogarnięty paniką uciekł zabierając ze sobą wielu starszych ranga urzędników, policję, straż pożarną oraz całą kasę miejską. Miasto zostało samo, płonące, bezpanskie. Zaczęły się grabieże rozbitych bombami sklepów, nie było komu gasić pożarów, wielki chaos i balaagan. Tego naprawdę nie da się opowiedzieć. I wtedy właśnie my — przedstawiciele lewicy — postanowiliśmy w miarę swych możliwości zaprowadzić względny porządek, opanować to niesłychane zamieszanie.

Przed wszystkim więc powołaliśmy w mieście straż oby-

BEZIMIENNI BOHATEROWIE OBRONY LUBLINA

watelska. Naczelnikiem straży został pracownik syndykatu Feliks Moskałewski, a ja — jego zastępca. Ustanowiliśmy kolonie, II — Lubartowskiej, a III w gimnazjum Sobolewskiej, a na 1 Maja. Załogę stanowili głównie ci, których nie objęła mobilizacja, a więc bardzo młodzi lub też w wiek bardzo wieku ludzie, uczeni i mieszkańcy Lublina. Naturalnie do służby, zresztą pełnionej zupełnie honorowo, werbowałem także wielu działaczy PPS. Straż obywatelska składała się z samych ochotników. Ludzie zgłaszali się do niej spontanicznie i masowo. Nie dla wszystkich wystarczyło broni, otrzymywali ją członkowie straży jedynie podczas pełnienia służby. Bola ich porządek w mieście, ochronie rozbitych bombami sklepów, magazynów, domów.

W Lublinie coraz gwałtowniej odczuwano brak żywności a najdotkliwiej soli. A tu oprócz stałych mieszkańców trzeba było wykarmić tysiące uciekinierów koczujących najczęściej na ulicach. Ponieważ jednak dysponowaliśmy magazynami wojskowymi oraz pewnymi zapasami żywności w LSS, staraliśmy się w miarę swych skromnych możliwości zaopatrzyć miasto. Przed sklepami działały się nieraz dantejskie sceny. I właśnie straż obywatelska miała wtedy niemiernie ciężkie zadanie w utrzymaniu porządku.

Po każdym bombardowaniu gruz z rozbitych domów zale-

ców Lublina, pogorzalców, iak i uciekinierów z zachodniej i centralnej Polski. Zresztą tym uciekinierom, których wielu przeygnowało z dalszej tułaczki, trzeba było — naturalnie w miarę możliwości — zapewnić dach nad głową. Lokowaliśmy więc ich gdzie się dało, zarówno w miejskich barakach, jak i w opuszczonych kamienicach.

Mój rozmówca zamyślił się. — To są koszmarnie wspomnienia — westchnął. Powiem panu teraz szczerze: jako przedwojenny działacz PPS nie miałem dobrego wyobrażenia o ówczesnych władzach, ale i nie sądziłem, że to się aż tak tragicznie skończy, że zostaniemy aż tak strasznie oszukani.

Skończyło się 18 września. Tego dnia do Lublina weszli Niemcy.

Władze nad miastem objęły początkowo Wehrmacht. Ustanowiono komendanturę wojskową. Mieściła się przy pl. Litewskim w obecnym gmachu rektoratu UMCS. Wróciłem do pracy w magistracie. Już pierwsze dni okupacji wykazały, jak bardzo byli potrzebni w zarządzie miejskim prawdziwi Polacy. Wielu znanym dziś działaczom zapewniłmy fikcyjną pracę. Mieśliśmy przecież dostęp do urzędowych blankietów, pieczęci. A w tym rozgardiaszu możliwości było wiele. Pamiętam, że m. in. takimi fikcyjnymi pracownikami, a jednocześnie członkami rady miejskiej byli: Stanisław Szwalbe, Jasiński — wybitni działacze spółdzielczości, Stanisław Tołwiński — późniejszy prezydent Warszawy i wielu, wielu innych. Tzw. lewe dokumenty miały wtedy duże powodzenie. A gdzież można było je wystawić jak nie w magistracie na oficjalnych blankietach z oficjalnymi pieczęciami.

Pamiętam także zdarzenie z tego okresu. Moja córka zaczęła wtedy pracować w biurze adresowym magistratu. Pewnego dnia, gdzieś pod koniec września, przyszedł jakiś oficer niemiecki i sam zaczął grabież w kartotekach. Coś narozbrał pod nosem. Córka usłyszała. Tak, nie było wątpliwości, chodziło mu o adres pani Wandy Papiewskiej, znanej w Lublinie działaczki lewicowej, siostry Jana Hempła. Córka natychmiast dała mi znać, a ja pobiegłem co tchu do jej domu na ul. Zamojską. Zdążyłem przed Niemcami. Wanda Papiewska natychmiast uciekła, ratując się w ten sposób przed aresztowaniem. Zresztą proszę pana, podobnych wypadków było wiele. Któż by je wszystkie dziś pamiętał. Na początku października komendantura wojskowa przekazała swe kompetencje gestapo. Zaczął się okres straszliwego terronu. Pamiętamy to piekło aż narbył dobrze.

LESZEK MAZUREK

Straż obywatelska
we wrześniu 1939 r.

gał wiele ulic. Trzeba było go usuwać, odblokować arterie komunikacyjne. I w tym wypadku nieoceniona wprost okazała się straż obywatelska, której bardzo dzielnie pomagali strażacy.

Tak, strażacy. Bo widzi pan w Lublinie oprócz zawodowej straży pożarnej była też i ochotnicza. Kiedy zawodowa uciekła z prezydentem miasta, powołaliśmy do służby ochotników.

Ci chłopcy, to ciś bohaterowie obrony Lublina, chociaż nie walczyli w okopach.

Ale wróćmy do straży obywatelskiej. Pomimo bombardowań musiały być przecie czynne zakłady miejskie: elektrownia, wodociąg i wiele innych. A nie zapominajmy, że była wtedy wojna. Oslawiona V kolumna działała. Hitlerowcy nasylali dywersantów, sabotażystów, szpiegów. Tak więc spośród pracowników przedsiębiorstw miejskich, którzy niemal dzień i noc trwali na swych stanowiskach utworzyliśmy także oddziały straży obywatelskiej. Miały one za zadanie ochronę swych zakładów. Robotnicy otrzymali broń. Po pracy szli na służbę wartowniczą, a ze służby — do pracy.

Jednocześnie mieliśmy pełne ręce roboty w wydziale opieki społecznej. Resztki pieniędzy miejskich przeznaczyliśmy na organizowanie kuchni polowej oraz na pomoc i to zarówno dla najbardziej zagrożonych mieszkań-